Rok V. Kraków, 15 Kwietnia 1897. **Nr. 8.**



NOWY DZWONEK

PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami* i *Rozmaitościami* wynosi w **Galicyi**:
rocznie: **3** złr.
półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **6** mk. — półrocznie: **3** mk.

W Ameryce rocznie: $1^1/_2$ dolara.

Adres do przesyłania przedpłaty: ***Redakcya Nowego Dzwonka,*** w **Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Każdy, kto złoży **całoroczną** prenumeratę na *Nowy Dzwonek*, otrzyma za to jako premię bezpłatną książeczkę p. t.: **„Pamiątka katolicka"**. Na przesyłkę pocztową tej premii należy dołączyć do prenumeraty **10** centów (z Niemiec **15** fen.).

Kto zaś (oprócz siebie) pozyska dla *Nowego Dzwonka* choćby tylko **jednego** nowego prenumeratora, ten osobno otrzyma za to jako drugą nagrodę książkę do nabożeństwa p. t.: **„Droga do nieba"**.

ALLELUJA!

W ciemnościach grzechu śpi Jeruzalem,
Zadawszy Zbawcy morderczy cios;
Z szczytu Golgoty wiatr jęczy z żalem,
Ale na niebie rozległ się głos:
Alleluja!

Nagle radośnie ziemia zadrżała,
Ogrojec wzruszył się chrzęstem drzew,

Ranna jutrzenka wcześniej powstała,
Brzmi na Kalwaryi anielski śpiew:
Alleluja!

Na stoku Góry, gdzie był grób w skale,
Jasności Bożej rozlał się zdrój,
W niej stanął Chrystus w promiennej chwale:
Lice jak słońce, śnieżysty strój,
Alleluja!

Zbrojni siepacze króla Heroda,
Co nad tym grobem trzymali straż,
Widząc, jak pękła śmierci przegroda,
Truchlejąc, niemi padli na twarz,
Alleluja!

Padli, bo Anioł Boży bez trudu
Po wyjściu Zbawcy odsłonił grób,
I kamień ciężki, jak zbrodnia ludu
Zwalił do nędznych im grzesznych stóp.
Alleluja!

Po długiej chwili strwożeni wstali
Głosić kapłanom niebieską moc,
A potem z nimi cudu zaprzali,
Bo grzesznym straszną była ta noc.
Alleluja!

A trzy Marye, śliczne lilije,
Bolejąc, idą nawiedzić grób;
Każda w zwiniątku wonie ziół kryje,
By niemi Zbawcy dotknąć się stóp.
Alleluja!

A tu Kalwarya taka radosna,
Takie tam szepty kwiatów i drzew,
Na niebie jutrznia, na ziemi wiosna,
A wkoło jeden weselny śpiew:
Alleluja!

A one smutne, a każdej lice
To słońce lśniące z za bladych chmur;
I nic nie wiedzą święte siostrzyce,
Że w niebie brzmi już anielski chór:
Alleluja!

Idąc pod górę, troszczą się społem:
— Kto wielki kamień odważy, kto?...
I nic nie wiedzą, że Bóg z Aniołem
Śród *wielkiej-nocy* odważył go.
Alleluja!

Wstąpiły w ogród, widzą zdumione,
Że już grób święty otworem stał,
Wchodzą w głąb ciemną, i nachylone
Szukają próżno ciała śród skał.
Alleluja!

Serca się z żalem krwawo zalały
I przestrach wielki ogarnął je,
Gdy w miejscu ciała błysł Anioł biały
I wzrokiem nieba spoglądał w nie.
Alleluja!

Przy tym Aniele dwaj inni stają;
Błyskawic światło bije z ich szat,
A ciemność groty tak rozjaśniają,
Jak słońce ranne oświeca świat,
Alleluja!

Z wzrokiem olśnionym, z czołem schylonem
Drżące niewiasty chcą wybiedz z skał,
Lecz Anioł-Boży cherubów tonem
Pociechę w serca strwożone wlał.
Alleluja!

— Czy niepamiętne Jezusa słowo?
Wszak w Galilei ogłosił wam:
Zburzcie ten kościół, jam go na nowo
W trzy dni zbudować mocen jest sam.
Alleluja!

Mimo słodyczy tych słów Anioła,
Wciąż drżące wyszły z grobu na świat,
I wraz spostrzegły, podniósłszy czoła
Młodzieńca w stroju śnieżystych szat.
Alleluja!

O rannym zmierzchu idąc ogrodem,
— Ach, ogrodniku! pytają się,
Czyliś Jezusa z Betleem rodem,
Przypadkiem dzisiaj nie spotkał gdzie?
Alleluja!

Młodzian rzekł: Idźcie do Piotra mego,
Idźcie do uczniów, powiedzcie im:
Niech do Pasterza garną się swego,
Zaprawdę bowiem, ja jestem nim.
Alleluja!

Ach! co za radość, co za wesele!
Stwierdzona wiara, zwalczony wróg...
Więc nućmy wszędzie, w domu, kościele:
Hosanna Zbawcy, wielki jest Bóg!
Alleluja!

Święcone wielkanocne w dawnej Polsce na stołach pańskich.

Inne to były dawniej czasy, inaczej się ludzie bawili, jak dzisiaj: Szczerość w obejściu, gościnność serdeczna i sute przyjęcia, to były cnoty dawnych Polaków. Szczególnie zaś sadzono się na sute „Święcone wielkanocne“ tak w domach magnackich, jak i mieszczańskich.

Podamy tu opis takiego „Święconego“, urządzonego w domach dwóch możnych panów, t. j. w domu księcia Radziwiłła, pana na Nieświeżu i w domu księcia Sapiehy.

Mikołaj Radziwiłł, „Sierotką“ zwany, przed swą pielgrzymką do Ziemi świętej, odbytą w r. 1583, wyprawił na nieświezkim zamku święta tak okazałe, iż o nich przez lat dziesiątki gwarzyła cała Litwa, przekazując w podaniu z pokolenia na pokolenie opis książęcego festynu.

Bogiem a prawdą, książę „Sierotka“, mimo skromnego przydomku i wielu cnót prawdziwie chrześcijańskich, jakiemi zasłynął, kochał się w okazałych występach. To też i podczas święta Rezurekcyi, poprzedzającego wyjazd jego na Wschód, kazał z dział walić co nie miara, tak że pułap w pewnym mieszczańskim domu, przyległym do bernardyńskiego klasztoru, runął skutkiem huku.

Książę wynagrodził hojnie szkodę, lecz rad był w duchu z skutku swych armat, które stanowiły słabostkę tego rozumnego pana. Chlubiąc się z posiadania największych dział na całej Litwie, poróżnił się z tego powodu na śmierć i życie z wojewodą trockim, Żabą, który podejmując u siebie w gościnie księcia „Sierotkę“, chciał mu zaimponować swemi armatami, każąc z nich dawać ognia podczas toastu, na cześć

księcia podczas obiadu wzniesionego. Mimo, iż strzelono tuż pod oknami sali biesiadniczej, dostojny gość zdawał się nie zwracać uwagi na ową salwę, czem zniecierpliwiony gospodarz zawołał:

— A to z dział strzelają mości książę!

— Z dział? — zapytał niedbale Radziwiłł — a ja myślałem, że z kruciczek.

Wracając do słynnego „Święconego“, wyprawionego w owym czasie przez „Sierotkę“ na nieświezkim zamku, nadmienić wypada, że było ono dziełem książęcego kuchmistrza, Włocha, Loga, który w pierwszej zaraz sali ustawił na stole trzy potężne pasztety. W jednym ukryte było żywe ptactwo, mnóstwo kuropatw, jemieluch, gołębi, jarząbków, które po zdjęciu pokrywy z pasztetu frunęły co rychlej na wolność przez otwarte w sali okna.

Większą jeszcze niespodziankę kryła w sobie druga piramida, w której siedział karzeł, w cielisty odziany trykot, cały spowity w kręgi kiełbasy. Przedstawiał on Laokoona, pasującego się z gadami Minerwy.

— A ten żyje! — zawołał książę z udanym gniewem.

— Decoctus erat, sed resurexit (ugotowany był, lecz ożył) — odparł układny Loga i zwrócił uwagę gości na trzeci z kolei pasztet, w którym po rozbiciu kruchej pokrywy, ujrzano karlicę. Dyanę, przykowaną salcesonem do podstawy pasztetu. Na nią czyhał z otwartą paszczą olbrzymi szczupak, któremu dowcipny Włoch przyprawił łeb dzika.

Nacieszywszy oko owymi wymysły, przeszedł Radziwiłł wraz z swemi gośćmi do przyległej sali, w której właściwa zastawa oczekiwała ich przybycia.

I tu nie brakło kunsztownej dekoracyi. Wśród pięknych krzewów widać było sadzawkę, wypełnioną lipcowym miodem, z wyspą zielonym owocem pokrytą w pośrodku. Na wyspie pasł się baranek z chorągiewką, mający oczy z dwóch drogich kamieni nieporównanego blasku, wydobytych z książęcego skarbca. Na tego baranka godziły cztery dziki ogromnych rozmiarów, upieczone całkowicie, podczas gdy z lasku, utworzonego z drzewek pomarańczowych, obwieszonych rozmaitymi konfektami, wyskakiwało w rozmaitych pozyturach dwanaście jeleni ze złoconymi rogami.

W tej sali były tylko same mięsiwa. Ciasta mieściły się w osobnej komnacie. Tam znów baby, potężne gdyby skały, dźwigały na swych szczytach urobione z migdałowej masy baszty i mury warowne, przypominające strukturą Jerozolimę.

Wśród domów miejskich, z cukru wyrzeźbionych, widniały korony ananasów, naśladujące drzewa palmowe zaś w bramach tego grodu ukazywały się figurki cukrowe, w polewanych pancerzach z czerwonymi krzyżami na piersiach, przedstawiające dawnych krzyżowców.

Że wśród tych wszystkich dziwów nie brakło konwi, roztruchanów, czar misternych, wyrobionych z szczerego srebra i złota, a napełnionych winem, małmazyą i miodem — tego chyba dodawać nie potrzeba, gdyż słynął od dawna z swych bogactw dom Radziwiłłowski.

Radziwiłłom nie ustępowali pod względem okazałości w przyjęciu Sapiehowie.

U Sapiehy, wojewody wileńskiego w Dereczynie, zastawiono pewnego roku Święcone, którego opis znajdujemy w starym kalendarzu poznańskim. Na stole środkowym stał oczywiście baranek z chorągiewką, wypełniony pistacyami, którym to przysmakiem częstowano jedynie damy, tudzież Biskupów i senatorów. Natomiast dla szerszego ogółu miłych gości ustawiono w rogach sali cztery odyńce, upieczone w jednej sztuce, a reprezentujące pory roku.

Każdy odyniec był wypełniony szynkami, kiełbasami, pieczonem mięsem prosięcia. Nadto ustawiono dwanaście całkowicie upieczonych jeleni z złocistymi rogami, przedstawiających dwanaście miesięcy w roku, a nadzianych przeróżną dziczyzną: zającami, cietrzewiami, dropami, pardwami.

Wokoło na stołach piętrzyły stę mazurskie placki, żmudzkie pierogi, nadziewane masą migdałową, serem lub powidłami, baby krakowskie, zwane mądremi, gdyż trwały w świeżości do sześciu tygodni i dłużej, ozdobione napisami rozmaitymi i floresami.

Placków było pięćdziesiąt i dwa, to jest tyle, ile tygodni w roku. Równa obfitość panowała co do trunków. Były więc cztery puhary napełnione winem z czasów króla Stefana, dwanaście srebrnych konewek z winem Zygmuntowskiem, pięćdziesiąt i dwie baryłki z winem cypryjskiem, hiszpańskiem i włoskiem i pięć gąsiorków z winem węgierskiem. Nadto dla dworskiej czeladzi nasycono 8700 kwart miodu na znak, iż tyle godzin rok liczy.

Na owem to Święconem znalazł się w gronie zaproszonych poczciwy szlachcic z Mazowsza p. Jacek Jarzyna, nie lubiący — jak to mówią — wylewać za kołnierz. A że święta obchodzono w Dereczynie przez kilka dni z rzędu, więc w końcu zachorzało biedne Mazurzysko i lekarz nadworny, Niemiec, za-

bronił mu brać udziału w pijatyce. Posłuchał go zrazu p. Jarzyna, lecz gdy wzniesiono zdrowie gospodarza, pochwycił i nasz szlachcic za potężną kolejkę. Żona, widząc to, nuż w prośby do niego:

— Jacusiu — szepcze nieboga — wylej wino, tego nikt nie zobaczy...

— Moja panno — odeprze uparty Mazur — takiego wina się nie wylewa, ani takiego zdrowia się nie pomija.

— Przecież nikt nie widzi...

— Ale Pan Bóg widzi! — woła zaperzony Jarzyna i duszkiem spełnia puhar ku niemałemu przerażeniu swej połowicy.

Tak się to dawniej w święta Wielkanocne gościli panowie polscy, bo mieli za co, bo kraj był bogaty, a bieda gościła chyba tylko po domkach mieszczańskich i chatach wiejskich. Bieda tu była, lecz nie wszędzie i nie taka jak dzisiaj, mimo pańszczyzny, mimo ucisku.

Mieli się wówczas wszyscy lepiej, i panowie, szlachta, mieszczanie i lud, bo trzymali się silnie Wiary św., bo kwitła pomiędzy wszystkimi stanami pobożność, to też Bóg im za to błogosławił.

Święcone Kasztelanek.

Ruch i gwar niezwykły panował zawsze we dworze polskiego kasztelana przez cały dzień poprzedzający święta Wielkiejnocy: rokrocznie bowiem przygotowywano tam sute i niezmiernie obfite święcone. Trzy kasztelanki same od rana do nocy przesiadywały w oficynach; najstarsza Bogumiła, szesnastoletnia dzieweczka, zarządzała wszystkiem w kuchni, młodsza o rok Halszka ustawicznie z kluczykami biegała do spiżarni i przeróżne ztamtąd wydawała zapasy, nawet dziesięcioletnia Jagusia pomagała siostrom, wybierając migdały i rodzynki, przesiewając cukier i korzenie tłuczone do ciast.

W obszernej komnacie, umyślnie na to przeznaczonej, składano ogromną ilość różnych ciast smacznych, a i mięsiwa była tam obfitość wielka. Ktoś, nieznający zwyczajów tego domu, wznosiłby zapewne, że gospodarz spodziewał się na Wielkanoc licznego zjazdu najdostojniejszych gości z okolicy.

Ale kasztelan żył zawsze samotnie w cichym, ponurym swym dworku i dzieweczki także do tej samotności przywyknąć musiały. Matka ich spoczywała oddawna w grobie rodzinnym, a ojciec nie mógł znieść widoku wesołych twarzy,

zmarszczka głęboka nigdy nie schodziła z jego czoła, chociaż córki swoje miłował, nigdy się jednak do nich nie uśmiechał. Na dnie duszy jego zaległa ciężka troska, bo syn jedyny kasztelana, chluba i nadzieja rodu, zginął śmiercią walecznych pod Wiedniem, gdzie poszedł za królem bohaterem Janem III-cim.

Dziesięć lat upłynęło już od tej pory, gdy wieść straszliwa padła jak piorun na nieszczęśliwych rodziców. Kasztelanowa życiem ten cios przypłaciła, Bogumiła i Halszka jak przez sen pamiętały te straszne chwile, a mała Jagusia, która wówczas właśnie dopiero na świat przyszła, już tylko z opowiadania sióstr starszych znała owe smutne dzieje.

A teraz zapyta kto może, po co tak obfite święcone przygotowywano w tym dworze, gdzie nigdy weselsze uczty się nie odbywały? Ale w rodzinie kasztelana był obyczaj dawny, przechodzący z pokolenia na pokolenie od czasów niepamiętnych. Przez cały tydzień, od pierwszego święta Wielkiejnocy aż do Przewodniej niedzieli, w obszernej komnacie zastawione były ogromne stoły ze Święconem, a wówczas otwierano podwoje, każdy ubogi, każdy podróżny miał prawo wejść i posilić się, każdego uprzejmie zaproszono. Starcy, sieroty, oto byli goście, którzy się gromadzili przy tych stołach, suto zastawionych jadłem i napojem. Kasztelanki same usługiwały wszystkim, tak jak same zajmowały się przyrządzaniem Święconego, które też z tego powodu w całej okolicy nazywano „Święconem kasztelanek“.

Owa Wielkanoc, o której tu opowiadać mamy, przypadała niezwykle późno. Lasy i łąki już zaczynały się zielenić, wszędzie na świecie było tak pięknie, wesoło!... Ale kasztelan w dni świąteczne chmurniej jeszcze wyglądał niż zwykle. Wysłuchawszy Mszy świętej w kaplicy dworskiej, dzielił się jajkiem święconem z córkami, sędziwą ich ochmistrzynią i kapłanem, później, ledwo dotknąwszy zastawionego jadła, wysunął się do swojej sypialni, gdzie nikt nie śmiał przerywać jego samotności.

Dziewczęta wkrótce podążyły do owej gościnnej komnaty; tam już od samego rana napływało ubóstwo, nieraz z dalszych stron nawet śpieszące na „Święcone kasztelanek“. Wszystkie trzy, przypasawszy białe jak śnieg zapaski, uwijały się około stołów, starsze krajały własnemi rękami mięsiwa i ciasta, rozlewały miód i piwo, najmłodsza roznosiła wraz z niemi jedzenie, a wszystkie uprzejmie zachęcały każdego do pożywania darów Bożych. Gdy goście nasyceni odchodzić mieli, błogosławiąc dobroczynne ofiarodawczynie, one szeptały im zcicha:

— Za duszę Janusza odmówcie pacierze.

Jedni wychodzili, inni przybywali na ich miejsce, gościnne stoły ani na chwilę nie były opróżnione, lecz Święconego nie brakło, obfitych zapasów starczyło nietylko na ten dzień cały, lecz na dni następne, aż do Przewodniej niedzieli, obawy o to nie było. Owóż w pierwsze święto Wielkiejnocy, około południa, gdy najliczniejsza gromadka już odpłynęła nasycona, na progu gościnnej komnaty stanęła postać wynędzniała, nieśmiało spoglądająca dokoła. Był to człek jeszcze nie stary, lecz dziwnie wyniszczony, osiwiały widocznie przed czasem, odzież miał na sobie obdartą, kij gruby w ręce, obuwie pyłem pokryte, snać długą odbywał drogę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odezwał się drżącym głosem od progu.

— Na wieki wieków — chórem odpowiedziały kasztelanki — usiądźcie, dziadku, odpocznijcie i posilcie się święconem. Strudzeniście zapewne. Czy zdaleka idziecie?

Dziadkiem go nazwały, bo nie wiedziały, jakieby mu inne dać miano.

— O tak, paniątka miłe — odrzekł obcy człowiek — przychodzę ze stron bardzo dalekich i chciałem iść dalej drogą, gdzie oczy poniosą, bom nawet nie wiedział, że to dziś święto Zmartwychwstania. Lecz obaczyłem, jak lud ubogi gromadnie dąży w tę stronę, więc pociągnąłem i ja za innymi, a jeśli łaska wasza, radbym się posilić i spocząć.

— A zkądże to wy idziecie, dziadku? — spytała Halszka zdziwiona — z pogańskiego chyba jakiegoś kraju, skoro zapomnieliście o Wielkanocy.

— O tak, panienko miła, wracam z niewoli tureckiej, gdzie długie lata przebyłem. Zestarzałem się i siły sterałem, ale Bóg miłosierny pozwolił wydobyć się przed śmiercią z pogańskiego jarzma. Cudem prawie wymknąłem się i dowlokłem do kraju o żebranym chlebie. Tu już między swoimi nie zginę, chociaż sam jeden jestem na świecie, bo już byłem sierotą, gdym dostał się do wojska na luzaka i z królem Janem ruszyłem pod Wiedeń. Tam to mnie pochwycili pohańcy.

— Zostaniecie u nas, dziadku, póki do sił nie przyjdziecie — rzekła Bogumiła — ojciec nasz nie żałuje chleba ubogim, on taki dobry, pewnie wam dopomoże.

— Bóg wam zapłać, Bóg zapłać — mówił wędrowiec, a gdy się posilił, dziewczęta przywołały jednego z zaufanych domowników, ażeby mu wskazał izdebkę w oficynie, gdzieby mógł wypocząć, nim ojcu o nim doniosą. Gdy wychodził, Bogumiła rzekła, przyjętym tu zwyczajem:

— Za duszę Janusza odmówcie pacierze.

— Janusza? — powtórzył wędrowiec, zatrzymując się w progu i ręką powiódł po czole, jakby zbierał myśli — za duszę Janusza?

— Tak — mówiła dzieweczka — Janusza, brata naszego, który zginął pod Wiedniem w obronie krzyża i świętej naszej wiary; pod Wiedniem, gdzieście wy dostali się do niewoli pogańskiej.

— Janusza — za duszę Janusza — pod Wiedniem — powtarzał wędrowiec dziwnym jakimś głosem i jakby błędnym wzrokiem wpatrzył się w twarzyczkę Bogumiły. Siostry spojrzały wzajem na siebie, strwożone nieco, sądziły bowiem, że długie cierpienia w jasyrze umysł biedaka obłąkały. Spostrzegł on to wrażenie i rzekł po chwili spokojniej:

— Wybaczcie, jeśli was przestraszyłem, ale ja mówię całkiem przytomnie. To imię Janusza przypomniało mi dziwną przygodę w niewoli. Na miesiąc może przed moją ucieczką, pasza, u którego byłem ogrodnikiem, wyprosił sobie u innego bogatego Turka kilku niewolników na dni parę do pomocy w pilnych robotach ogrodniczych. Był między nimi jeden dziwnie pięknego oblicza; poznałem odrazu, że to Polak, ale dozorca, który go przyprowadził, dziki i okrutny jakiś Turczyn, nie pozwolił mu ani słowa do mnie przemówić, chociaż i on widocznie, spojrzawszy mi w oczy, poznał rodaka. Upatrzyliśmy jednak chwilę sposobną i mogliśmy parę słów z sobą pomówić.

Powiedział mi wonczas ten młodzieniec, że był w niewolę wzięty pod Wiedniem, tak samo jak i ja, a nie ma żadnej nadziei wydostać się z rąk swojego okrutnego pana, bo w ojczyźnie wszyscy go mają za nieboszczyka. Dlaczego tak jest, nie wiem, nie miał czasu wyjaśnić, szepnął tylko: Jużby mię dawno byli wykupili, mój ojciec jest możny a bogaty, jest kasztelanem; nazywa się Janusz ..... — nazwiska nie zdążył już wymówić, dozorca krzyknął na niego i biczem zagroził, a strzeżono go więcej od innych. Otóż gdyście powiedzieli, panienko miła: Janusz, brat mój, mnie raptem stanął na myśli ów jeniec, bo też z wdzięcznego oblicza jak dwie krople wody do was był podobny!

Siostry słuchały oniemiałe ze wzruszenia, a wtem jęk głuchy ozwał się za niemi. odwróciły się całe drżące... kasztelan stał u progu drzwi, prowadzących do dalszych pokojów! On słyszał także słowa wędrowca, lecz w pierwszej chwili

gwałtownego wzruszenia nie mógł głosu wydobyć z piersi. Ozwał się wreszcie po chwili, odetchnąwszy głęboko:

— Człowieku, miej litość! powiedz, czyś ty anioł z nieba zesłany, czy przychodzisz mnie kusić złudną wieścią? Syn mój zginął na placu boju, oddano mi sygnet, który miał na palcu, gdy martwe ciało jego na pobojowisku znaleziono. Nie, nie, ty nas zwodzisz!... A jednak dzieją się cuda na świecie. O Boże, wielki Boże! czyżby syn, którego przez lat tyle opłakiwałem, miał z grobu powstać?

— Ja was zwodzić nie myślałem, — rzekł wędrowiec, kładąc rękę na piersiach — przysięgam, że mówię prawdę, nic nie dodaję ani zmyślam. Ów jeniec powiedział mi, że mu na imię Janusz, że w kraju wszyscy, nawet ojciec rodzony, mają go za umarłego. Tego ojca nazwał kasztelanem, a czem więcej patrzę na tę cudną panienkę, tem wyraźniej widzę w niej dziwne podobieństwo do jego oblicza.

— Tak, tak, on był podobny do Boguni, to on! — i kakasztelan, padłszy na ławę, wybuchnął długo tłumionym płaczem.

Nie było jednak czasu do stracenia; posłano natychmiast do Lwowa, do klasztoru księży Trynitarzy. Powołaniem tych zakonników, sprowadzonych przez króla Jana po wyprawie wiedeńskiej, było wykupywanie jeńców chrześcijańskich z rąk muzułmanów, oni wiedzieli zatem najlepiej, jak się wziąć do tego. Kasztelan chciał koniecznie sam jechać z nimi na Turecczyznę, lecz zacni ojcowie odwiedli go od tego. Nie znając krajowych stosunków i obyczajów, mógł im przeszkadzać zbytnim pośpiechem i gorączką. Stanęło więc na tem, że księża Trynitarze pojechali sami, zabierając z sobą znaczną sumę w złocie. Ów zbieg z niewoli opowiedział im szczegółowo, gdzie mają szukać jeńca, który się mienił kasztelanicem Januszem, wiedział bowiem, jak się zwał Turczyn, trzymający go w niewoli.

Po odjeździe kapłanów poczęło się długie, męczące oczekiwanie. Kasztelan raz wpadał w rozpacz, to znów nadzieja się w nim budziła. Dziewczęta na każdy szelest zrywały się z bijącem sercem i wybiegały na podwórze. Ślubowały one, że jeśli Bóg Wszechmocny pozwoli im oglądać tego brata, który miał z grobu powstać dla nich, będą co rok przez cały czas Wielkiego Postu szyły bieliznę i odzienie dla ubogich, i wraz ze święconem rozdawały je w dniu Wielkiejnocy.

Jedyną ulgę przynosiły wszystkim godziny, gdy rodzina cała zgromadzała się w kaplicy na wspólną modlitwę. Odma-

wiano nowennę za nowenną. Gdy kapelan zaintonował litanię do Najświętszej Panny, gdy zgodne głosy trzech sióstr słały do nieba błaganie gorące: Matko Zbawiciela! Matko Odkupiciela! Pocieszycielko strapionych! módl się za nami! — wówczas serce kasztelana miękło, uciszała się dusza jego skołatana, uginając kolana, z chrześcijańską pokorą i poddaniem składał ufność swą całą u stóp Najświętszej Pocieszycielki.

Pewnego wieczora ciemno było i wietrzno na dworze, deszcz lał jak z cebra, a pora ta zwiększała jeszcze smutek i niepokój, ciążący na sercach mieszkańców dworu. Wszyscy siedzieli w obszernej komnacie na dole, nie zważając na wiosnę, pęki suchych gałęzi rozpalono w dużym kominie, przy którym siedział kasztelan, w krześle swojem, zagłębiony, i drzemał, a może tylko udawał, że drzemie. Dziewczęta rade, że ojciec spoczął choć na chwilę, w milczeniu siedziały przy stole, na którym płonęły dwie jarzące świece; w rękach trzymały jakieś robótki, ale żadna nie mogła przyłożyć się do szycia; ogarnęło je dziwne, niewytłómaczone wzruszenie. Dokoła zaległa cisza głęboka.

A wtem nagle psy zaszczekały głośno i zaturkotał wóz na dziedzińcu... kasztelan zerwał się na równe nogi, chciał biedz na ganek, lecz nie był w stanie poruszyć się z miejsca, tylko obiema rękami chwycił się poręczy krzesła i półgłosem powtarzał:

— Bądź wola Twoja, Panie, jako w niebie tak i na ziemi!...

Dziewczęta krzyknęły głośno i nieprzytomne prawie wybiegły na ganek, a nie upłynęło i pół minuty, gdy znów do uszu kasztelana doleciały okrzyki donośne:

— To on! żyje, nasz Janusz żyje!

Kasztelan z żywością młodzieńczą poskoczył naprzód, wyciągając ramiona, a w tejże samej chwili na progu ukazał się wysoki, piękny mężczyzna i wołając:

— Ojcze mój, ojcze! — padł do nóg kasztelana, który z głośnym płaczem podniósł go w ramionach, jak dziecię, tulił do piersi, niewyraźne i przerywane wymawiając słowa.

W pierwszej chwili zapomniano zupełnie o zakonnikach. którzy weszli cicho za Januszem i stanąwszy w najciemniejszym kącie izby, z rozrzewnieniem przypatrywali się tym powitaniom. Lecz gdy się nieco uspokojono i oni zbliżyli się do szczęśliwej rodziny, wszyscy zasiedli przy stole suto zastawionym, kasztelan kazał przynieść z piwnicy stare, omszone butelki węgrzyna i rozpoczęły się opowiadania.

Dowiedziano się teraz dopiero, dlaczego Janusz tak długo za umarłego uchodził. Młodzieniec w czasie bitwy zabił Turczyna, który miecz podnosił nad jego głową; lecz w tejże chwii drugi stary Turek powalił go na ziemię i wziął w niewolę. Był to ojciec zabitego. W pierwszej chwili chciał go zamordować, ale się rozmyślił, że dla szlachetnego rycerza upokarzająca niewola sroższą karą będzie od śmierci. Zdjął więc z niego suknie, ściągnął sygnet z palca i w oczach jego włożył to wszystko na trupa, który z postaci i wzrostu podobny był do kasztelanica, a któremu twarz do niepoznania porąbał.

Ciężką była niewola Janusza, lecz siły młode go podtrzymywały, a miłosierdzie Boże uratowało. Dużo trudności mieli zacni księża Trynitarze, nim zdołali go wydobyć z rąk mściwego prześladowcy. Turek ani chciał słyszeć o okupie, ale suma pieniężna, przysłana przez kasztelana, posłużyła do przekupienia dozorcy, który umknął razem z jeńcem.

Nazajutrz zrana solenne nabożeństwo odprawiało się w kaplicy, śpiewano chórem hymn dziękczynny: „Ciebie Boże chwalimy!“ Że to jednak na tym świecie niema zupełnego szczęścia, więc i tu wśród radości ogólnej była chwila wielkiego smutku, gdy rodzina cała zgromadziła się na grobie kasztelanowej. Janusz teraz dopiero dowiedział się o śmierci matki i przebolał ją, jakby świeżą stratę.

Następnej wiosny znowu na Wielkanoc we dworze kasztelana stoły uginały się pod sutą zastawą. Na pokojach podejmowano sąsiadów, bo już teraz smutek przeminął, a stary dwór zawrzał życiem i weselem. Lecz do wielkiej gościnnej komnaty dawnym obyczajem schodziło się ubóstwo a kasztelanki częstowały święconem i rozdawały odzienie, własną ręką uszyte. Czyż potrzebujemy dodawać, że ów wędrowiec, który przed rokiem przyniósł wieść radosną z tureckiej krainy, nigdy już dworu kasztelana nie opuścił i miał tam chleb łaskawy do śmierci.

Trzeba zakładać sady i pasieki.

Lud polski wogóle jest pracowity, to też łatwo znajduje wszędzie pracę; ale brak mu przedsiębiorczości i pomyślności, więc nie widząc nowych źródeł zarobku, które leżą wokoło niego, woli iść, choćby daleko, gdy tam gotową pokażą mu pracę. Często się zdarza, że mógłby w domu pracować na swojem, być panem u siebie, on jednak jedzie w świat, do

miasta lub za morze, gdzie pracuje jako najemnik; zamiast podnosić bogactwo własnej ziemi i samemu dorabiać się mienia, on bogaci swoim trudem obcych, dla swojego społeczeństwa i swojej kieszeni nic nie zyskując.

Ten brak przedsiębiorczości i przemyślności należy także do powodów, że u nas wiele gałęzi pracy spoczywa nierozwiniętych, że dokoła nas leżą skarby nienaruszone, że niemało sposobów zarobkowania nie są wyzyskiwane. Do tych nieznanych kopalni bogactw należą pomiędzy innemi **sad** i **pasieka.**

W naszym kraju hoduje się nadzwyczaj mało owoców; te zaś, które rosną w naszych sadach i ogrodach, są zwykle lichych gatunków i tak niedbale obchodzimy się z nimi, że kupcy po większych miastach bardzo wiele owoców sprowadzają z innych prowincyj i z zagranicy, za które tysiące reńskich wychodzą od nas. A przecież wiele owoców udaje się znakomicie na naszej ziemi. Znamy dworskie ogrody, gdzie hodują najwyborniejsze gatunki jabłek, doskonałych zimowych gruszek, najrozmaitszych śliwek, rozpływających się w ustach brzoskwiń, słodkich winogron, przeróżnych czereśni, olbrzymich truskawek itd. itd.

Wszystkie te owoce hodowane są w ogrodach na otwartem powietrzu, doskonale wytrzymują naszą zimę, praca przy nich doskonale się opłaca, lecz niestety ogrodów takich, a w nich wyborowych owoców jest w naszym kraju bardzo mało.

Każdy niemal gospodarz ma przy domu mniejszy lub większy sad; ale drzewa w nim w najwyższym stopniu zaniedbane, gatunki niewiele warte, owoce kwaśne, drobne, tak że ledwo z biedą pozbędzie ich się za cobądź w mieście na targu, jeżeli ich wpierw na pół dojrzałych dzieci nie objedzą. Sądzi przeto właściciel takiego nędznego sadu, że nie warto owoców hodować, a nie pomyśli o tem, iż on wcale nie hoduje, tylko one same rosną. Owoc, jak każda rzecz, która ma przynieść jakiś zysk, potrzebuje pracy około siebie, starania i trudów. Trudy te przy pielęgnowaniu drzew nie są znowu zbyt ciężkie, ani wielka sztuka nauczyć się sadownictwa. Dworskie ogrody mają niemal zawsze zawodowych ogrodników, którzy dobrze obeznani są z hodowlą drzew owocowych i u nich można nabyć potrzebnych wiadomości, to jest nauczyć się sadownictwa.

Czyżby więc nie lepiej zrobił jeden i drugi syn gospodarski lub właściciel małego kawałka ziemi, gdyby zamiast iść w świat na robotę, zajął się w domu hodowaniem dobrych owoców, przy którem można się zajmować i innemi jeszcze pracami, mianowicie w zimie. Zostałby wtedy pomiędzy swoimi, praco-

wałby na własnym kawałku roli, przy pilnej pracy i przemyślności, dorobiłby się sam mienia i podniósł bogactwo ojczystej ziemi.

Na dobre, wyborowe gatunki owoców kupcy znajdą się zawsze; małoż to sprowadzają nasze handle nie tylko świeżych, ale suszonych owoców, powideł, soków, konfitur itd.? Gdybyśmy dużo hodowali owoców, znaleźliby się z czasem i u nas przedsiębiorcy, którzy zakładają fabryki przetworów owocowych, gdzie to świeże owoce zamieniają w drogie konfitury, konserwy, galarety, marmelady itd. Dziś nikt takiej fabryki założyć nie może, bo owoc musiałby sprowadzać z daleka, a toby się nie opłaciło.

— Bardzo to wszystko ładnie, — pomyśli sobie kto może, ale żeby to choć sady już były z wyrosłymi drzewami o doskonałych owocach; możeby to warto było pielęgnować je i zbierać pieniadze za owoc; lecz dopiero drzewa sadzić, nowe gatunki zaprowadzać, ktoby się tam kiedy doczekał zbiorów?

Myli się, kto tak sądzi. Gdyby ludzie takiego byli zdania i tylko chcieli przychodzić zawsze do gotowego, nigdyby nic nie zdziałali, bo niby nie opłaci się zaczynać; aleć skoro nigdy nie zaczniemy drzew sadzić, nigdy nie będziemy mieli sadów, nigdy nie będziemy ciągnąć z nich korzyści, jakiebyśmy mogli osiągnąć przy dobrej woli, pilności i przemyślności. Zresztą drzewa owocowe prędko rosną; niektóre gatunki już w drugim roku wydają owoc, a w trzecim i czwartym niemal wszystkie. Nadto i o tem powinniśmy pamiętać, że nie pracujemy tylko dla siebie samych, lecz także dla dzieci, dla przyszłych pokoleń.

Naturalnie, że każde początki są trudne, że z niejedną przyjdzie spotkać się trudnością, przeszkodą, można doznać i zawodu, a nawet czasem straty, ale wytrwałość umie pokonać wszystko, nie zraża się chwilowem niepowodzeniem, a pracy podjętej ze szlachetną myślą Pan Bóg nie odmawia błogosławieństwa, choć czasem wśród niej doświadcza.

Dlaczego to inne narody umieją z małego kawałka ziemi wyciągnąć setki i tysiące, my sami tylko mamy nic nie potrafić? Przypatrzmy się Szwajcaryi, Holandyi, Belgii, Danii, co okazały pilną pracą i przemyślnością! Ale tam nie oglągali się ludzie na trudności, nie szli do obcych pracować za wątpliwą zapłatę, ale własną ziemię użyźniali swoim potem i dziś są u siebie panami.

Jeszcze większe korzyści, jak sad, przy mniejszym zachodzie i pracy, przynosi p a s i e k a, hodowanie pszczół. Pasieka, to prawdziwa kopalnia złota. Wprawdzie i tu potrzeba stara-

nia i umiejętności, lecz nauczyć się ich przecie nie trudno. Są ku temu i książki i pisma, są ludzie, co się znają na pszczelnictwie i rady udzielą.

Niejeden z tych, którzy nie mogąc wyżyć z małego kawałka ziemi, idzie rok rocznie w świat na robotę, gdyby założył w swoim ogródku pasiekę, do jak znacznej mógłby przyjść fortuny! I byłby panem na swojem, nie wyrobnikiem u obcych, a przyczyniłby się do dobrobytu całego społeczeństwa.

O zbycie miodu i wosku nigdy niema najmniejszego kłopotu, bo jeden i drugi znajduje tysiączne zastosowania w przemyśle. Oprócz tego do domowego użytku doskonale miód służy. Lekarze radzą używać go na różne dolegliwości; nawet zdrowe zupełnie osoby, spożywające po każdem jedzeniu łyżkę miodu, zachowują zdrowie w czerstwości, a chronią się wielu dolegliwości i chorób; dzieciom także bardzo zdrowy jest miód; można im go dawać z chlebem, herbatą itd.

Z miodu wyrabiają w wielu domach doskonały napój zastępujący najlepsze wina, którym się nawet odurzyć można. lecz w miarę użyty, dodaje sił i humoru. Ach gdybyśmy to chcieli zakładać pasieki, hodować pszczoły i sycić miody: możeby ten staropolski napój ojców naszych wyrugował z użycia nieszczęsne gorzałczysko, fałszywe wina, niezdrowe likiery, a wraz z tem wszystkiem pijaństwo, tę główną przyczynę naszej biedy, ciemnoty, ten powód tylu nieszczęść i łez.

Hodowanie pszczół, to staropolskie zajęcie; ojcowie nasi, za polskich czasów mieli nietylko pasieki przy domu, ale i lasy pełne były barci, w których mieszkały pszczoły, zapełniając je wonnym miodem; pszczelnictwo było też prawdziwem bogactwem naszej ziemi. Wielki dostatek miodu i wosku wsławiły Polskę nie tylko u sąsiednich narodów, lecz nawet po dalekim świecie, po którym ojcowie nasi rozsyłali doskonały miód do picia, zastępujący najdroższe wina i biały wosk, który płonął w kościołach na chwałę Bożą.

Treść numeru 8-go: Alleluja (wierszyk). — Święcone wielkanocne w dawnej Polsce na stołach pańskich. — Święcone kasztelanek. — Trzeba zakładać sady i pasieki.

Do niniejszego numeru dołącza się 8-my numer ***Nowin* i *Rozmaitości.***

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.